

HOD

(N)

sprawdzić

~~czy przepisać?~~

Zofia Hodiak

ARCHIWUM WSCHODNIE

Archiwum Wschodnie 37

48

Urodziłam się w 1931 roku w Futorach w powiecie Zborowskim, w woj. Tarnopolskim i tam przed wojną wraz z rodziną mieszkałam. Mam średnie wykształcenie - po wojnie ukończyłam w Tarnowie średnią szkołę krawiecką. Wieś, w której mieszkali Ukraińcy i Polacy leżała wśród łąk, przez jej środek płynął potok, do Zborowa - dokąd w niedzielę chodziliśmy do kościoła - było 7 km. Właściwie, na Mszę Sw. jeździliśmy konnym zaprzęgiem. W Futorach kościół był dopiero w budowie, odprawiano tam tylko majówki. To była stara wieś, ale rusińska, stała tam stara cerkiew. Polacy sprowadzili się dopiero w 20-tych latach naszego wieku, osiedlając się na zakupionej ziemi od Księdza i innych, już po powstaniu niepodległego państwa polskiego.

Od wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku, przez całą jesień aż do zimy Ukraińcy miejscowi mordowali i napadali na Polaków. Oczywiście byli to Ukraińcy nie z naszej wsi, z sąsiednich - wymieniali się. Taka była właśnie sytuacja po utracie niepodległości: oni ciągle napadali na rodziny polskie, niszczyli, palili, mordowali w perfidny sposób: wydłubywali oczy, żywych ludzi nabijali na pale, zakopywali, palili domostwa... Niszczyli w straszliwy sposób! Polacy, żeby się obromić, ojcowie względnie dorośli mężczyźni z rodzin, co noc mieli wartę w obrębie osiedla rodzin polskich. Obserwowali czy ktoś niepotrzebny nie kręci się w pobliżu, czy jacyś ludzie grupami się nie pojawiają. Matki natomiast czuwały w domach. Było wspólne porozumienie: na jakieś hasło wszyscy opuszczają domy i wyprowadzają się w pole. To było dla nas tak okrutne, bo przez cały czas spałyśmy w ubraniach i w butach. Wszyscy byli w pogotowiu. Raz był taki fałszywy alarm: ktoś się zjawił, ktoś tam krzyknął, matki razem z dziećmi uciekły w pole i potem, oni - mężczyźni - nie mogli nas wrócić, wołali za nami, a myśmy myślały że to pogoń. To trwało do późnej jesieni, była ogólna niechęć do życia. Rano ojcowie wracając przynosili ciągle wiadomości że tu i tam jakichś mordęstw dokonywano, jakichś rzezi... Trwała

taka niepewność - nie wiadomo czy jutro nas nie pomordują. Jak nastąpiła zima trochę się to uspokoiło. Aż do 10 lutego 1940.

Od 1 do 17 września Ukraińcy byli spokojni. Panował chaos, nie było wiadomo cóż się dzieje, była wojna. Dopiero po wejściu Sowieców zaczęli się ^{tak} zachowywać. Od utraty niepodległości Ukraina zaczęła się szerzyć. Przypuszczam, że było to wszystko prowokowane przez Moskali. Przed wojną stosunki nasze były bardzo przyjazne i normalne. Ukraińcy przychodzili do Polaków, Polacy do Ukraińców, nawet żenili się wzajemnie i to nikogo nie raziło.

Wojska Polskiego od wybuchu wojny u nas nie było, od razu pokazali się Moskale. Wyglądali okrutnie - to była piechota -, ale wyglądali raczej jak łachmaniarze a nie wojsko. Nędznie ubrani, nie dbali, mało widać było, że to jest wojsko. Mieli czapki do szpica i długie karabiny. Kiedy to wojsko przeszło, został tylko bałagan i nieporządek, żadnej administracji. Pozostali Ukraińcy i zaczęli na wielką skalę się gospodarzyć. Miałam wówczas 8 lat, szczegółów i nazwisk nie pamiętam.

10 lutego 1940 roku z samego rana, między 8.00 a 9.00 pojawiły się czołgi sowieckie na łąkach. Zaczęliśmy się w pierwszej chwili cieszyć: dobrze że pojawiły się czołgi, może jakiś porządek zaprowadzą i Ukraińcy przestaną rządzić wszystkim. Niedługo potem do naszego domu przyszedł Moskal w mundurze, a że nie umiał mówić po polsku, przyszedł z tłumaczem. To był ktoś z miejscowych Ukraińców. Obydwaj uzbrojeni, był z nimi jeszcze jeden Ukrainiec, cywil również z bronią. Tłumaczą nam, że do dwóch godzin mamy się spakować, a właściwie nie, nie potrzebujemy niczego brać, dadzą nam podwozy i po dwóch dniach wrócimy /podwozy - sanie/. Moskal wydał takie polecenie, zostawił cywila z bronią, a obaj poszli do domu następnego. I tak z domu do domu przechodzili. Ten, który został, przynaglał nas do wyjazdu. Mój tato nie miał zaufania do obietnicy szybkiego powrotu, nie chciał jechać, próbował się opierać. Najpierw tłumaczył, że nie ma butów dla dzieci, to oni /Ukraińcy/ przynieśli worek różnych starych bu-

ciorów z domów, z których już polskie rodziny wywieziono. Widzieliśmy je, bo obok naszych zabudowań przejeżdżały saniami. Myśmy mieli buty, ale tato tak próbował się wykręcić. Potem uparł się, że pojedziemy własnym koniem i własnymi saniami. Nie, oni mu dadzą tyle podwód ile zechce, ale własnymi nie. A myśmy mieli rosyjskiego konia, wojsko nam dało /WP/. Naszego zabrali, a wojskowy u nas został. Nie umiał chodzić w pługu, ani robić w polu, natomiast na drodze by padł, a nie dał się minąć. Taki szaleniec był. Więc tato planował, że jak pojedziemy naszymi saniami, będziemy uciekać, bo z tym koniem damy sobie radę. Potem zrezygnował z ucieczki. Pozwolili w końcu wziąć nasze sanie, a na drugie załadowaliśmy pierzyny, chleb, trochę masła, mleka, tato spodziewał się, że jedziemy na dłużej. Nas było sześć: rodzice i cztery córki - najmłodsza, jeszcze w becie, malutka całkiem, ja i dwie siostry starsze.

Zima była, zadyмка, śniegiem pruszyło... A

Przed wyjazdem przyszedł Ukrainiec do domu i pyta się co jest dla świń do jedzenia, co dla krów... Gotowały się ziemniaki na kuchni, ale tato wziął blaszak i wywalił te ziemniaki na śnieg. Bo nie mógł ścierpieć tego, żeby on /Ukrainiec/ w jego /taty/ domu już się rządził. On już miał tu zostać i objąć naszą gospodarkę.

Wieźli nas na Futory do szkoły ukraińskiej. Była tam tylko jedna szkoła z kierownictwem ukraińskim, ale polskie dzieci tam chodziły i uczono po polsku. Nie potrafię powiedzieć czy uczyli polscy nauczyciele. W tym dniu wogóle nie było zajęć. Dzieciom, które rano poszły do szkoły kierownik powiedział: w tym dniu nauki nie będzie. Czy wiedział o wszystkim?

Pozwozili do szkoły wszystkie rodziny polskie, próbowali ~~da~~ ~~nam~~ ~~podać~~ ~~nam~~ ~~jedzenie~~, jakąś kawę, jakieś bułki, ale nikt nie mógł tego prz^ezłknąć. A podwoły przed szkołą czekały....

Wieczorem spowrotem załadow^eno nas na sanie i pojechaliśmy na stację do Zborowa, a tam - ładowanie do wagonów.

Szkoła w Futorach była jednym z punktów w których gromadzono

ludność polską przeznaczoną do wywiezienia. Przywożono do niej ludność z okolicznych miejscowości. Rodziny z Futorów próbowały trzymać się razem, szczególnie przy ładowaniu do wagonów, sądziliśmy bowiem, że znając się łatwiej będzie nam to wszystko znieść. Do Zborowa masę narodu wieźli...

W Futorach mieszkało 20-30 rodzin polskich, co najmniej, bo ok. 20 rodzin wywieziono, a część rodzin jeszcze została. Jakie rodziny były z nami wywiezione z Futorów? 1/ Rodzina Lasotów - 11 osób; babcia, ośmioro dzieci i rodzice. 2/ Tekla Tłuczek z dwójką dzieci. Jej męża nie zabrali, bo wówczas, 10 lutego poszedł rano do miasta, do Zborowa, tam się dowiedział o wywożeniu polskich rodzin, o tym, że jego żonę również chcą zabrać, więc myślał, że jak nie wróci do domu, to ją zostawia. 3/ Tłuczek Florek - siedem osób było. 4/ Tłuczek Stanisław - cztery osoby: rodzice z dwoma córkami. Teraz są w Australii, wyszli z Andersem. 5/ Pasierbów było sześcioro, 6/ Krowiak Józef - siedmioro, jedno dziecko zmarło w wagonie podczas jazdy na Sybir. Oni bardzo nędznie żyli w Futorach i nic nie wzięli ze sobą. 7/ Rodzina Kotowiczów. 8/ Muchy - to byli dwaj chłopcy, chyba po 18 lat mieli i byli sierotami. 9/ Soleccy. 10/ Moja rodzina. Innych nie pamiętam.

Ładowano nas do dużych bydlęcych wagonów, w naszym wagonie było 70-80 osób, czyli 15-20 rodzin. Rozlokowali nas na półkach z desek, oprócz których na środku stał tylko piecyk żelazny, odrobina węgla, nic więcej. Ciasnota była potworna, dzieciom z półek nie wolno było schodzić, siedzieliśmy więc tam cały czas. Niektórzy Polacy podczas zabierania z domów uwierzyli, że rzeczywiście za dwa dni wrócimy i nic kompletnie nie wzięli. Nawet dla niemowląt odrobiny mleka nie mieli. Więc to, co kto wziął, dzieliliśmy tak oszczędnie dla wszystkich, żeby tym najbardziej głodnym i tym, którzy nie rozumieli jeszcze co to znaczy głód /dzieciom/ po trochę dzielić tego jedzenia, mleka... Ani wody, ani niczego kompletnie nie było, nie dostawaliśmy. Potrzeby osobiste załatwialiśmy przez dziurę, w pod-

łodze wagonu, którą sami wydłubaliśmy. Oczywiście załatwialiśmy potrzeby na oczach wszystkich ludzi, bo innego wyjścia nie było.

Jak tylko nas załadowali transport ruszył. Jazda odbywała się nocami. Transport był straszliwie długi, jeszcze potem jak dojechaliśmy do Wołynia, dołączyli drugi raz tyle wagonów. Skąd wiedzieliśmy, że był długi? Na górnych półkach w wagonie były małe okienka, oczywiście zakratowane i mężczyźni w ciągu dnia przez te okienka patrzyli — dokąd jedziemy i jak długi jest transport to po pierwsze, a po drugie zbierali wodę: ile się dało ręką ściągnąć przez okienko lodu i śniegu żeby topić i ewentualnie zakrapiać przynajmniej tych, którzy potrzebowali troszeczkę zwilżyć usta. Nie było grama wody, 70-ciu ludzi, w różnym wieku, ani odrobiny wody! Niczego, kompletnie! Lód i śnieg topiono na piecyku.

Transport miał trzy lokomotywy: na początku, w środku i na końcu. To był potwornie długi transport. Trudno mi powiedzieć ile było wagonów, ciągle słyszeliśmy jak mężczyźni ~~mówili~~ czuwający przy okienkach mówili — szczególnie na zakrętach — że transport jest straszliwie długi, że wagonów jest nieskończona ilość. Oczywiście, nas po załadowaniu w Zborowie od zewnątrz zamknięto i zaplombowano. Postoje w dzień były w lesie, albo całkiem na poboczu stacji, na bocznych torach między jakimiś cysternami, węglem tak, że nie było widać nawet budynków stacyjnych. Jechaliśmy cały czas na wschód. Trwało to przez 4-5 dni, nikt nie otwierał, nikt nie zaglądał do nas. W międzyczasie zmarło małe dziecko Krowiaków i leżało pod drzwiami. Któreś z rodziców tego dziecka, pamiętam, trzymali moją siostrę do chrztu; byli w przyjaźni z moimi rodzicami. To maleństwo było chore już w Futorach, przed zabieraniem z domów, a tu bez wody, jedzenia zmarło. Zresztą jak otworzyli po raz pierwszy drzwi, całą masę trupów wynosili z innych wagonów.

Podczas postojów na stacjach, nie w lesie, waliliśmy w drzwi i ściany wagonu czym się dało, żeby ktoś usłyszał. Bez skutku... Dopiero po 5 dniach, po przekroczeniu granicy, pierwszy przystanek

był w Kijowie. Wiedzieliśmy kiedy przekraczaliśmy granicę polsko-rosyjską, nastąpiło to w dzień, więc mężczyźni zdążyli ją zauważyć. Powiedzieli wówczas: no, teraz jesteśmy w Rosji. Teraz już jesteśmy pewni, że jedziemy na dłużej. W wagonie wówczas ~~xxabixa~~ nastąpiła uroczysta chwila, wszyscy dorośli wstali, to pamiętam - myśmy, dzieci, poryczały się z tej okazji - wszyscy wstali, zaśpiewali "Jeszcze Polska nie zginęła"... Matki zaczęły oczywiście straszliwie płakać... Już potem nie obserwowali specjalnie, wiedzieli, że jesteśmy w Rosji.

W Kijowie pierwszy raz otworzyli drzwi. Jeden wojskowy wszedł do wagonu, wyznaczył 4 lub 5 osób, które miały pójść po zupę na stację, a on sam stał w wagonie i pilnował, żeby nikt nie wyszedł. Pozabierali w tym czasie umarłych, a nasi ludzie przynieśli we wiadrach taką rzadką zupę.

Oczywiście nasi ojcowie zaczęli się mocno upominać, domagać wyjaśnień: co myśmy zrobili? Za jaką karę nas się tak męczy, ani wody, ani jedzenia... przecież jesteśmy ludźmi! I wogóle co się dzieje, że nas wywieziono? Doszło do ostrej wymiany zdań... Oni, konwojenci, z krzykiem do nas, byśmy się uspokoili.

Na tej stacji mogliśmy naczepać wody do naczyń jakie mieliśmy. My, w obawie że znów nas zamkną i będziemy usychać z pragnienia, ~~xx~~ nabraliśmy tej wody do wszystkich naczyń jakie mieliśmy, do czego się tylko dało. A efekt był taki, że jak pociąg ruszył, to się zrobiła ślizgawka, woda się rozchlapała. Oni jak ruszali tym transportem, to było straszliwe trącanie, wagony o siebie uderzały tak, że nie można było stać, bo człowiek by upadł.

Na terenie Rosji przystanki w czasie jazdy były częściej, częściej karmiono nas tą rzadką zupą. Po trzech tygodniach takiej podróży stanęliśmy, też w nocy, na jakiejś stacji. To był Krasnouralsk.

✕ Podjechały ciężarowe samochody i kazano nam do nich się ładować. Jechaliśmy z godzinę w zamknięciu, po czym kazano nam wysiadać przy jakichś oświetlonych elektrycznym światłem barakach. Były zbudowane z drewna z okrągłaków, nie bielone, ale ogrzane - w środku napalone

było w piecach. Barak podzielony był na osobne izby i każda rodzina dostała jedno takie pomieszczenie. Wewnątrz była kuchnia z cegły czerwonej z żelaznym blatem, na którym można było coś ugotować, były dwa lub trzy łóżka żelazne z deskami i jakimiś siennikami, kawałek ławki - to wszystko. Izba nasza miała jakieś 15m². Pod kuchnią paliło się drzewem. Strażnicy odjechali, a my powoli lokowaliśmy się. Trzeba było się przespać.

Baraki były całkiem na uboczu poza miastem. Jak się wyszło na skraj miasta, to cały horyzont pokryty był lasem.

Krasnouralsk powstał dlatego, że tam odkryli rudę. Przesyłali tam różnych Rosjan ze zsyłki, którzy pracowali i mieszkali nie mając dowodów osobistych. Mieszkańcy miasta byli zesłańcami i wszyscy mieszkali w barakach. Było tylko kilka domów, w których mieściły się urzędy i administracja.

Więc myśmy się rozlokowali i położyli spać. Ale nie możemy... coś kręci się, łazi po nas... Jak tato wstał i zaświecił, to było czerwono od pluskw! A karaluchy to po suficie łaziły, tak spadały na nas! Jakoś tę noc przemęczyliśmy, ale tak żyć nie możemy, trzeba coś robić. Co rodzice nie robili z tymi pluskwami! Ale one były nie do wyplenienia! Bo te baraki były budowane z okrągłaków "na węży", zacinane na rogach i przy stawianiu drzewo było najprawdopodobniej surowe, porobiły się więc szczeliny i w nich pluskwy się gnieździły.

Rano przyszedł wojskowy i cywil z administracji, i przydzielali nam pracę: wszyscy dorośli, od 18 roku życia, bez względu na płeć i zdrowie, do kopalni rudy - 11 godzin tam zmiana trwała -. Wszystkie dzieci od 10 do 18 lat do lżejszej roboty. Moi rodzice poszli pracować do kopalni. Od baraku, w którym mieszkaliśmy, do kopalni było ok. 2 km, ludzie chodzili piechotą ponieważ dojazdu tam nie było. Ruda była głęboko pod ziemią, więc zjeżdżano w dół szybami na głębokość 200-300 m. Moje dwie starsze siostry pracowały w odpowiedniku naszej spółdzielni ogrodniczej przy przebieraniu ziemniaków.

Na czym to przebieranie polegało? Wybierano z tych ziemniaków

takie, które miały część nasienną, czyli wgłębienia na skórcie ziemniaka, z których wyrastały kiełki - kłaczka, odcinało się ją i zasuśzało jako nasienie, a część pozostała przeznaczona była do konsumpcji. Siostry moje za miesięczną pracę dostawały 2 kilo ziemniaków "konsumpcyjnych". To był płaca! Jadło się wówczas te ziemniaki na surowo, ale w ukryciu ponieważ było to zabronione. Do dzisiaj dobrze pamiętam... Tak wówczas jadłyśmy je, że dzisiaj obierając ziemniaki zawsze tamte chwile przypominam sobie i zastanawiam się, czy potrafiłabym dziś je w surowym stanie jeść tak, jak wówczas. Tam były one dla nas jabłkami...

Moi rodzice za pracę w kopalni dostawali 100 rubli miesięcznie na osobę i - na miejscu, w kopalni - obiady z dwóch dań. Robili tak, że drugie danie zjadali, a zupę w słoiczku przynosili do domu.

Moje siostry, wychodząc podczas pracy z magazynu - np. do ubikacji - wносиły dla mnie ziemniaki i w umówionym miejscu je chowały. Była zima, musiałam przychodzić po nie o określonej godzinie aby nie zmarzły. Ale czasem zamarzły. Przynosiłam je do domu, dokładnie myłam, nie obierałam, tarłam na tarku na krochmal i zupa z kopalni plus ten krochmal to było całe nasze jedzenie.

Dostawaliśmy również chleb, dla dorosłych pracujących w kopalni 80 dkg, a dla nas, dzieci, 40 dkg. To było wszystko. Chleb dostawaliśmy na kartki w sklepie. Ważony był na wadze, równo odcinany - 80 dkg, jak był bardziej wypieczony było go więcej, jak niewypieczony, mniej. Oczywiście płaciliśmy za chleb kartkowy, ile - nie pamiętam. Nie był drogi. Był w sklepie chleb komercyjny, bez kartek, można było go kupić. Za tym chlebem stali i Moskale i Polacy, ale 1 kg kosztował 100 rubli! Nas, niestety było niestać. Na dodatek tato palił jeszcze papierosy - potem rzucił palenie. Mieliśmy dostać jeszcze na kartki 5 dkg oliwy, ale nigdy jej nie było. Odpadały wszelkie jarzyny, mleko, o tym się nie mówiło, tego nikt nie oglądał i nikt nie jadł. Był chleb, zupa z kopalni, kradzione ziemniaki, to było wszystko. Cośmy poza tym jedli? Jak przyszła wiosna podcinaliśmy

brzozy i spijali sok z drzew. Pory roku tam były bardzo wyraźne, tzn. wiosna była wiosną, lato latem, nie tak jak u nas, że w lecie jest zimno. Tam w miesiącach letnich można było wyjechać kilkadziesiąt kilometrów rano i bez obawy, że się zmarznie. Było ciepło. Jedliśmy młodą lebiodkę, szukaliśmy, co się nadawało do jedzenia: jakieś grzyby, jagody...

Bardzo blisko naszych baraków był cmentarz miejski, grzebano ludzi bardzo uroczyście, z orkiestrą i otwartą trumną... Ale nie to jest ważne. Kiedy były Zaduszki, tak jak u nas Dzień Wszystkich Świętych, to Rosjanie przynosili masę jedzenia na groby, jedzenia bardzo eleganckiego, dla swoich bliskich tam pochowanych. Wierzyli, że dusze wychodzą z grobowców i to zjadają. Więc myśmy tylko czekali kiedy ludzie ~~z krasnooursalsku~~ ^{po Zaduszkach} opuszczą cmentarz i tak elegancko te groby ~~z krasnooursalsku~~ obieraliśmy z jedzenia pozostawionego... Wszystkośmy zabierali, co się tylko dało... Nie było wyjścia! Trzeba było się ratować... I dusze jadły... Było tam ci~~asto~~ pieczone, jakieś cukierki, smaczniejsze rzeczy jak normalnie. Na tym cmentarzu chowali różnych komunistów, dygnitarzy... Kondukt żałobny szedł z orkiestrą, umarły miał poprzipinane medale, trumna otwarta - wieko niesione osobno nakładano dopiero przy grobie. Ale ten Dzień Zadusznych to oni jednak szanowali. Wierzyli w to - tam Prawosławie było -, że ta dusza w nocy przychodzi, zjada to wszystko, że ona głodna i chce jeść. Przynosili wódkę, jedli, pili, gościli się przy tym grobie, na koniec dla tej duszy zostawiali jedzenie i odchodzili. A myśmy to zbierali.

Groby były ziemne, na każdym jakiś pomniczek i gwiazda. To byli komuniści! Krzyży tam nie wolno było stawiać. Nigdzie tam krzyży nie było.

× W Krasⁿouralsku mieliśmy wodę do picia na bloczki - dwa wiadra wody dziennie na rodzinę. Nie było studni. Pranie, zimą, urządzaliśmy z wody śniegowej, latem zaś z deszczowej. Do prania służył nam ług z popiołu, żadnych środków do czyszczenia czy mydeł nie było. Wprawdzie w kopalni pracujący tam dostawali jakieś szare mydło, ale

nie mogliśmy go używać, po nim dostawaliśmy jakiejś wysypki na skórze. Po wodę do picia chodziliśmy Ok. 2 km, był tam kran wewnątrz małej budki pilnowanej przez jakąś kobiecinę, której dawaliśmy co miesiąc otrzymywane bloczki, wówczas ona puszczała nam wodę. Po wodę chodziły dzieci, w przypadku naszej rodziny, to ja chodziłam. Nosiłam po dwa wiadra na noszajkach, które tato mi zrobił specjalnie. Pamiętam, raz chłopaki rosyjskie zrobili sobie wybryk: jak szliśmy z tą wodą - bo czasem chodziliśmy grupowo, z kilku rodzin - chłopaki nawrzucaли nam do wiader jakies brudy czy ziemię. Przyszliśmy z płaczem do domu, był właśnie tato, więc opowiadamy. Tato dał nam nowe bloczki i powiedział: idźcie jeszcze raz, a ja sobie poczekam na chłopaków. Zaczaił się za pagórkami, złapał ich i chciał do rodziców odprowadzić. Ale chłopcy się bardzo spraszali, bo lanie mieli zapewnione, więc ich puścił. I więcej takich zartów nie robili. To były takie psoty chłopięce, nie z nienawiści.

Zimą temperatura w Krasnouralsku sięgała do 50°C mrozu. Myśmy w swoim odzieniu nie mieli co tam robic. Chodząc po mrozie odmrażaliśmy nosy, uszy, policzki. Nasze buty wzięte z kraju były za słabe na ten mroz, robiliśmy więc ze słomy takie plecionki i zakładaliśmy je na buty.

Przezimowaliśmy, ~~przeżyliśmy~~ ^{przeżyliśmy} lato, nadchodziła kolejna zima - 1941/42 - i starsi zaczęli się nad naszą sytuacją zastanawiać; zaczęło brakować nam sił. Mój tato miał obydwie nogi zgniecione w kopalni rudą, mamę ruda uderzyła w głowę, przecięła kask i skaleczyła mocno głowę, zraniła. To nie trzeba dużego kawałka, ruda jest potwornie ciężka. Przy takim wyżywieniu słabli wszyscy, baliśmy się, że nie wytrzymamy.

W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że Anders organizuje armię polską. Można było do niego dotrzeć i z nim się zabrać, ale były potrzebne na podróż pieniądze. Niektóre rodziny zdażyły wcześniej wyjechać i dotarły do polskiego wojska. Myśmy nie mogli wyruszyć z nimi ponieważ moja najmłodsza siostra zachorowała na czerwonkę i wzięli ją do szpitala. Musieliśmy więc czekać aż wróci. Zresztą stało się tak,

że tato wypisał ją ze szpitala na własne żądanie ponieważ tam ją wykańczali. Dopiero wyleczył ją prywatnie polski Żyd, lekarz, również wywieziony do Krasnouralska. Lekarstwem - powiada - będzie mleko, musicie koniecznie kupić gdzieś trochę mleka. A skąd tu je wziąć? I tato mój, pracując w kopalni z Moskalami powiada im o kłopotcie: chore dziecko potrzebujące mleka. A jeden z tych Moskali - chcę właśnie powiedzieć, jacy są ludzie dobrzy, ci Moskale byli również zesłańcami - powiada: ja mam kozę, przyslij więc dziecko co-dziennie z butelką, to trochę tego mleka koziego jej dam. Moje starsza siostra chodziła tam i co-dziennie, za darmo, dostawała butelkę koziego mleka od nich. Zresztą oni wiedzieli, że nie mamy pieniędzy. W każdym bądź razie bezinteresownie pomogli nam wyleczyć dziecko.

W międzyczasie z naszego baraku kilka rodzin - m.in. rodzina Tłuczków dziś mieszkająca w Australii - nie mówiąc nic nikomu nagle i cicho zniknęli. To było zimą 42-go roku. Co się stało, dowiedzieliśmy się po jakimś czasie, kiedy napisali do kogoś z naszych ludzi, o możliwości dotarcia do Andersa, do Taszkientu. Tylko że trzeba się tam w jakiś sposób dostać. Wobec tego zaczynamy się organizować. Ale co - nie mamy pieniędzy! Więc z tego karkowego chleba przygotowywaliśmy żelazne zapasy na drogę: odcinaliśmy dziennie po jednej kromce z każdej porcji i zasuszaliśmy.

Oczywiście o tej tzw. amnestii dla Poalków i o formowaniu się polskiego wojska pod dowództwem Andersa Rosjanie nas absolutnie nie powiadomili. Mój tato jeszcze z rodzinnej naszej wioski, z Futorów, przezornie zabrał z sobą rower, mówiąc: może się przyda. I sprzedał ten rower w Krasnouralsku Moskalom - to był dla nich rarytas, strasznie się nim cieszyli. Wziął trochę pieniędzy, nie pamiętam ile, ale suma ta wystarczyła nam na kupienie biletów do Taszkientu, co zresztą nie było łatwe, ponieważ Rosjanie, tzn administracja sowiecka, zorientowali się szybko, że coraz więcej Polaków znika, nie zgłaszają się do pracy w kopalni. Więc na sta-

cyjach milicja zaczyna kontrolować ludzi, ciągle się kręci, obserwuje czy nie ma tam jakichś Polaków. Myśmy przez dwa tygodnie stali za biletami przebierając się w najrozmaitszy dziwaczny sposób, żeby się nie dać poznać. Aż udało się nam je kupić.

Pięć rodzin wówczas nas uciekało: Lasoty, Pasierby, my, Muchy, piąta rodzina to Soleccy. Wszyscy z Futorów. Przed samym wyjazdem, w nocy, tato mój z desek, które na łózkach były, odręcznie siekierą zrobił takie sannice dla nas, bo myśmy już wtedy miały kurzą ślepotę z niedożywienia - wieczorami nie widziałyśmy już nic. I oboje rodzice ciągnęli nas na saniach na stację. Załadowaliśmy się do pociągu towarowego i jedziemy.

Przyjeżdżamy do Swierdłowska. W tym czasie na terenie Rosji zorganizowane były punkty Polskich Patriotów /Związek Polskich Patriotów/ i w tym Swierdłowsku również taki punkt był. Mój tato zdecydował, że poszukamy ich - może dadzą nam coś do jedzenia. Przycho-
dzi, a oni powiadają: bójcie się Boga, przecież za wami pogoń jest! A wy se tak, o!?! Tato odpowiada: róbcie coś z nami. W tym punkcie byli cywilni ludzie, odnosili się do nas bardzo dobrze. Postarali się ~~nam~~ o żywność dla nas z darów amerykańskiej UNRY, którymi dysponowali i zaczęli się zastanawiać co zrobić z nami. Nie chcieli puścić nas dalej, jak twierdzili: „na pastwę losu”, że gdybyśmy dostali się w ręce Rosjan, znaleźlibyśmy się na białych niedźwiedziach i koniec z nami. Mieli taką możliwość, zezwolenie, na dysponowanie wagonami i w taki sposób się nami zajęli - załatwili nam, na 5 rodzin, jeden wagon.

Przez kilka dni staliśmy, tzn wagon służący nam za mieszkanie stał na bocznym torze w Swierdłowsku, aby pogoń nas wyprzedziła. I tak nas ci z ZPP przetrzymywali. Raz nawet siedzieliśmy w ukryciu przed Moskalami w jakiejś piwnicy. I to wszystko się tak przewlokło, że myśmy wyjechawszy z Krasnouralska zimą, w styczniu 1942 roku, na wiosnę, w marcu przyjechalismy dopiero do Czkałowa, a w międzyczasie byliśmy w Swierdłowsku. Nie tylko - cały czas byliśmy w podróży.

Czkałów leży nad rzeką Ural i kiedy wiosna tam przyszała, gwałtownie, jak to u nich jest, śniegi zaczęły topnieć i zruszyło most na rzece, most, którym mieliśmy właśnie się przeprawić na jej drugą stronę w drodze do Taszkientu. Wycofali więc nasz wagon na tor boczny. Wiosna w pełni, powódź wielka, krowy, różne inne płyną rzeką, brud na stacji kolejowej straszny... Wybucho w wagonie epidemia tyfusu. Zorientowaliśmy się, kiedy zmarła żona Floriana Tłuczka. Zmarła nagle, podczas rozmowy. Mój tato rozmawiał właśnie z nimi /Tłuczka/ o sytuacji naszej, o tym, że zaczęli nam w wagonie ludzie chorować... Ona miała wspartą głowę - bardzo ją bolała - na kolanach męża i tak w trakcie tej rozmowy umiera... Cóż, trzeba zawiadomic pogotowie. Przyjechali, ją zabrali, wszystkim pomierzyli temperaturę i kto miał więcej niż 37^o - zabrali do szpitala. Taką temperaturę mieli w zasadzie wszyscy dorośli, tzn od ok. 14 lat wzwyż, a dzieci nie. W wagonie było 30 osób razem. Za dwa dni część, tzn. młodzież dorastająca wróciła, dorośli natomiast zostali w szpitalu: babki, dziadkowie, rodzice...

I wtedy, w tych pięciu rodzinach, w każdej rodzinie ktoś umarł na tyfus. Nam umarła mama. To był marzec 1942.

Jak wyglądały pogrzeby naszych blisk^{ich} i wogóle, ludzi, którzy w tym szpitalu umierali? W kostnicy szpitalnej składano 250 sztuk, bez względu na wiek, narodowość i płeć. Jak już był "pełny stan", podjeżdżała platforma, na nią wrzucano ciała umarłych, okrywano plandeką i wywożono za miasto w jakimś tam dole chowając. Tak właśnie bliscy nasi zostali pochowani. Pozostali przy życiu rodzice, dziadkowie wrócili do nas. Oczywiście w międzyczasie zrobiono dezynfekcję wagonu. Zlano lizolem wszystko, nas wzięto do rosyjskiej łaźni... Starsi, po powrocie, ustalili, że dopóki most będzie nieczynny, musimy poszukać jakiegoś miejsca postoju, jakiegoś zajęcia. Więc tato mój zrobił listę nas wszystkich, dodając młodocianym trochę lat, żeby byli doroślejsi, i z tą listą wysłał w poszukiwaniu jakiejś pracy czy jakiegoś kołchozu dwóch ludzi na drugą stronę

rzeki. Przeprawili się promem tymczasowo łączącym oba brzegi. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że jeden z przewodniczących kołchozu zgodził się przyjąć nas do pracy. To było ok. 30 km od Czkałowa, więc umówili się, że w określonym dniu podwoły przyjadą nad rzekę, by nas zabrać. Przeprawiliśmy się wszyscy na drugą stronę i przyjechał po nas wóz drabiniasty zaprzężony w byki. Wszystko to działo się nocami: naszą przeprawę, wcześniej dwóch naszych ludzi, przyjazd wozu z ~~bykami~~^y... Tam wszystko dzieje się w nocy, zawsze w nocy!

+ Przywieźli nas do tego kołchozu, do budynku tzw brygadnego, gdzie co dziennie rano zbierano wszystkich pracowników na taki niby apel, do podziału pracy. Tam przenocowaliśmy. Rano przyszedł przewodniczący, nas zobaczył i powiedział: - powtarzam za nim - „job waszu mać, to sami rebiata” /pani Zofia lekko się uśmiecha/. A mój tato powiada: „job waszu mać, a myśmy się tu prosili?” „No żadno, żadno” odpowiedział. Popatrzył na nas: „ta wy się nie nadajecie do roboty”. Dał nam po dwa kilo mąki, mleka kołchozowego i nie kazał przez cały tydzień przychodzić do pracy. Mieliśmy się odżywiać. Kobiety z tego kołchozu przynosiły nam po garnku zsiadłego mleka; fajne były, litowały się nad nami, wiedziały skąd przyjechaliśmy. Zamieszkaliśmy w brygadnym baraku, w pomieszczeniu służącym dotąd na zbiórki przed pracą. Było ono wielkości 5m x 5m, wszystkie 5 rodzin tam umieszczono. Po tygodniu czasu poszliśmy do roboty. Był taki podział, że dorośli pracowali w polu, a młodzi w warzywnym ogrodzie. Mój tato pracował w warsztacie stolarskim, naprawiał wszystkie kołchozowe maszyny. W ogrodzie produkowano-uprawiano kapustę, buraki, ogórki, pomidory, ziemniaki, inne i mogliśmy jeść je bez ograniczeń. Bardzo szybko wkupiliśmy się w łaski, bo okazało się, że ci Moskale nie umieją ani pracować, ani zorganizować sobie pracy. Myśmy, dzieci, potrafili stare Moskalki zaginać w robocie - jak stanęliśmy, to za nami było widać robotę /np. przy plewieniu, czy siekaniu grządek/. Zresztą tak się umówiliśmy, że będziemy pracować solidnie. Rosjanki

nie wiedziały jak się do wykonywanej przez nie pracy zabrać. One robiły jak automaty! Kazali tak, to tak - nie myślały nic podczas pracy. Zresztą - wróć do kopalni w Krasnouralsku - mój tato tam tak usprawnił sobie robotę i zrobił się stachanowcem! 400% normy wyrabiał. Inni mieli do niego pretensje, a on odpowiedział wówczas: „słuchajcie, nie miałem zamiaru być stachanowcem, chciałem sobie tylko uprościć robotę”. Tam nie wolno było być stachanowcem, bo i innym normę podwyższali. Rosjanie może nie chcieli pracować, ale najlepszym przykładem ich nieumiejętności jest brak wyczucia smaku podczas przyrządzania potra^w - dla nich samych przecież! Na ogrodzie mogliśmy, w takim wielkim kotle, gotować zupę z warzyw, kaszy i mąki. To był nasz obiad - talerz zupy. Chleb przynosiliśmy z domu. To, co gotowały Moskalki, nie nadawało się do jedzenia, nie miało smaku. Więc jedna z naszych, ^PPolka z Futorów, nazywała się ¹⁹Jółka, była synową Soleckich, zaczęła gotować zupę z tych samych produktów. Wszystkim, szczególnie Rosjanom zupa ta bardzo smakowała. Nie gotowały więcej - wstydzily się. Później już gotowały nasze kobiety.

Jedna z moich sióstr do pracy pojechała w pole. Cały kołchoz obrabiał 500 ha ziemi, więc w kilku miejscach były pobudowane baraki, w których przez cały sezon mieszkali traktorzyści i inni pracownicy. Siostra właśnie wiosną wyjechała do takiego miejsca i wróciła dopiero jesienią. Pracowali tam na trzy zmiany, a kontakt z nimi był tylko przez jakiegoś człowieka, który do nas, do bazy głównej przyjeżdżał po prowiant. Praca trwała tam bez przerwy: w nocy, podczas świąt... Tam świąt, niedziel nie było, kościołów wogóle nie było. Tzn. były cerkwie, ale zamienione na magazyny. W tym kołchozie cerkiew właśnie służyła za magazyn. Kiedy siostra wróciła, tato poszedł ją rozliczyć, co też ona zarobiła. Dopłacił 57 rubli. Tyle zarobiła przez lato, że jeszcze trzeba było do niej dopłacać... Policzyli jej to, co zjadła, koszty utrzymania i trzeba było dopłacić! Za mało zapracowała!

Dlaczego tam są takie marne zbiory, dlaczego tam się nie rodzi na polu? Pole, tam, gdzie byliśmy, jest dobre, ma prawo rodzić, jest urodzajne. Dlaczego więc? Kiedy tam byliśmy - teraz jak jest, tego nie wiem -, taka była zasada: każdy, jeżeli chciał żyć, musiał kraść. Przykładowo, do obsiania 1 hektara pola potrzebny jest 1 metr/100 kg/ zboża. Więc wypisują taki metr zboża do obsiania hektara pola przygotowanego przez traktorzystów. I teraz, kto się koło tego zboża przesunie? Ten co odbiera, ten co wiezie, ten co przyjmuje, wysiewa... Każdy z nich weźmie i jeżeli z 1 metra wysieje się poł, to trudno spodziewać się zbiorów dobrych .

W uprawie stosowano trójzmianowość, tzn. pole było podzielone na trzy części i dwie z nich leżały odłogiem, trzecią zaś obsiewano. I tak na zmianę, co trzeci rok. Nie trzeba stosować nawozów.

W tym kołchozie przetrwaliśmy do końca, do 1946 roku.

Kiedy rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska, kierownicy kołchozów dostali nakaz, żeby - odpowiednio do ilości pola - oddawać dla wojska jakąś ilość zboża, mięsa, warzyw, zależnie od produkcji. Nie liczone się z tym co będą jedli ludzie - pracownicy, kierownik musiał za wszelką cenę odpowiedni kontyngent oddać, choćby miał gdzieś kupić. Był to żelazny nakaz, a że plony były słabe, nic w kołchozie nie zostawało. Okres wojny niemiecko-rosyjskiej był okresem straszliwego głodu. Tam nie było co jeść. Jeszcze ci stali kołchoźnicy, Rosjanie, mieli swoje krowy, owce, mogli jakoś żyć, ale my, którzy nic nie mieliśmy?

Na dodatek wszystkich mężczyzn Polaków zabrali do wojska kościuszkowskiego. Ale mój tata nie dał się: poszedł z moją siostrą do RKU /Rejonowa Komsja Uzupełnień - ?/ i powiedział, że jeżeli wezmą jego, to muszą wszystkich, całą rodzinę. Matki bowiem nie mamy, i kiedy same zastaniemy, zginiemy wszystkie, a tato nie pozwoli na to. Jakoś zlitowali się i go nie wzięli. A jeszcze tato miał zaświadczenie od kierownika kołchozu, że jest tam bardzo potrzebny, że w kołchozie nie ma jednego normalnie zdrowego mężczyzny, a że tato

jest majstrem, umie wszystko naprawić: traktor, kombajn, wszystkie narzędzia, kamienie młyńskie ułaż, żarna zrobił, więc kierownikowi kołchozu zależało na nim.

Głód panował taki, że gdyby ludzie nie kradli, umieraliby. Myśmy chodziły na kołchozowe pola, zbierałyśmy kłóska pozostałe po żniwach, a taki nadzorca konno obieżdżający pola, kiedy nas złapał, wszystko wysypał na ziemię. Zbierałyśmy kłóska wiosną, już kiełkujące, męłyśmy na żarnach młyńskich i piekłyśmy placki. Pamiętam, jak siostry raz upiekły z tego zrosniętego zboża placki, były one czarne, jakby z ziemią, pokosztowałyśmy je, ale nie dało się tego jeść! A tato, kiedy wrócił z pracy, siadł i zjadł te placki jak smakołyki. Myśmy tak patrzyły na niego - byłyśmy strasznie głodne, ale on musiał być bardzo, bardzo głodny kiedy to zjadł. Zjadł, trochę jeszcze najstarsza siostra, a na drugi dzień obsypały ich jakieś krosty - zatrucie. Oboje zawieziono do szpitala, gdzie walczyli ze śmiercią, przetaczano im krew. Lasotów - o których mówiłam - troje dzieci było wówczas w szpitalu... W jednym tygodniu zmarły. Karambol spotkał tą rodzinę straszliwy w tamtym czasie. Z 11 osób zostało tylko troje. Po pójściu pierwszej trójki do szpitala, na skutek wywołanego tym faktem szoku, ^{zmarło} czwarte dziecko. Jedną ze starszych dziewczyn, pracująca w kopalni rudy jeszcze w Krasnouralsku, miała tam wypadek - ruda pogmiotła jej wnętrzności. Potem rany zaleczono, a teraz, podczas tego zatrucia ziarnem kiełkującym, zaczęło się to odnawiać i w tych bólach umarła. Kolejne dziecko po zjedzeniu placąków zaczęło pić wodę i zaraz na miejscu zmarło. Została przy życiu - z całej rodziny - dziewczyna, Marysia i dwóch chłopaków. Jeden miał 15 lat w chwili powrozu do Polski, drugi był młodszy. Po powrocie do kraju wzięto ich do domu dziecka. Spotkałam Marysię w latach 50-tych w Trzebini, gdzie byłam - po skończeniu szkoły średniej - na praktyce krawieckiej w fabryce płaszczy gumowych. Mieszkała tam u ciotki. Tam też spotkałam starszego z braci, Ignacego. Różne miał koleje losu... Lepiej nie mówić.../pani Z. prosi aby następujący

~~fragment~~ wspomnień - podany tutaj w nawiasie - nie drukować:

zaczynam z nim rozmawiać, co się okazuje? Z niego zrobił się prawdziwy komunista! Dla niego, co tam, na Syberii, przeżył, to się nic nie liczyło! Oni go w domu dziecka wychowali jak chcieli! Już tutaj, w Polsce! Żyje gdzieś tam, ożenił się, ale nie ma potomstwa... Należy bezwzględnie do partii, do PZPR... Nie mogłam sobie w żaden sposób wytłumaczyć. Był, jest przykładem zupełnym naszych, polskich nowoczesnych poglądów.../

Była wówczas w Czkałowie wiosna jak mówiłam. Tato wrócił ze szpitala bardzo osłabiony i w tym wielkim osłabieniu, siedząc przy oknie zauważył małe zwierzaki wychodzące z ziemi na dworze, które stawały na dwóch łapkach i tak sobie świstały. Była tego cała masa na zasianym polu. I tato w zastanowieniu mówi do nas: „może to się da zjeść?” Poszłyśmy z siostrą i zaczęłyśmy lać wodę w dziury - nory podobne do chomikowych! Zaczęły wyłazić. Jak to teraz złapać, żeby nie ugryzło...Udało się, a trafiłyśmy na początku na samca, taki tłusty był... Zaraz, na polu sciągnęłyśmy skórę, wyrzuciły wnętrzności i przyniosłyśmy samo mięso. Było tłuste i podobne do króliczego - bardzo smaczne. Robiłyśmy z tego rosół. Dziennie przynosiliśmy całe wiadro czystego mięsa. Tato zrobił nam jeszcze haczyk zagięty do góry i jedna z nas lała wodę, druga, trzymając haczyk w jamce, wyciągała za łeb tego zwierzaka. Zużywałyśmy w ten sposób mniej wody. Te suszy postawiły nas na nogi. I tak, na tych suszach, trwaliśmy do końca, do wyjazdu z Rosji.

X Na przełomie 1944/45 r. poszłam do szkoły w Czkałowie jako 13 letnia dziewczynka do czwartej klasy. Kierownictwo i nauczyciele byli polskimi Żydami wywiezionymi wraz z Polakami. Kierowniczką nazywała się Baszer, nauczyciel zaś Bregman. Mieszkałam w internacie od września do końca roku szkolnego, do czerwca. Kupiono jakiś materiał, wszystkim nam poszyto jednakowe bluzeczki - mundurki, które szyła polska krawcowa /na zdjęciu w dolnym rzędzie 3-cia od prawej, siedzi przy maszynie do szycia, ona jednocześnie uczyła nas szyc/

W kuchni pracowała jedna z naszych znajomych z Futorów, pani Pasierb /na zdjęciu w górnym rzędzie druga od lewej/ , Helena Pasierb/na zdjęciu, jako uczennica, stoi również pani Zofia - w górnym rzędzie pierwsza z prawej, a obok niej jej koleżanka z klasy, a siostra Heleny Pasierb, Józefa. Obie siostry mieszkają obecnie w Drawsku Pomorskim - p./. W internacie żywność dostarczano z amerykańskiej UNRY. Uczyliśmy się z podręczników wydawanych w języku polskim w Rosji, podręczników słabych, pobieżnych. Z przedmiotów były: j.polski, matematyka, obowiązkowo j.rosyjski, rysunki, śpiew... Wszystkich przedmiotów uczył wychowawca klasy - Bregman. Nauczycieli było czterech, uczniów zaś 25, same dziewczyny.

Jak wyglądało w Czkałowie, wogóle w miejscowościach, które pamiętam, życie towarzyskie? Nic takiego właściwie tam nie było. Nikt z naszych ludzi nie wychodził tam za mąż, nie żenił się. Luźniejsza trochę była niedziela - poza sezonem ci, którzy pracowali w ogrodzie, do pracy nie chodzili, więc ten wolny czas próbowali sobie zorganizować: czytaliśmy jakieś książki, kto miał Pismo Święte to czytał, modliliśmy się... Nie chcieliśmy zapomnieć polskości, tradycji... Marzyliśmy ciągle o powrocie do kraju... W internacie była jedna z kucharek, Polka, która umiała wywoływać duchy, zbieraaliśmy się więc na seanse spirytystyczne. Pierwsze pytanie zawsze było niezmiennie: „czy wrócimy do kraju”? To nas najbardziej interesowało. Właściwie żadną dziewczynę nie interesowało zamążpójście itd... Duchy rzekomo przychodziły ^{odpowiedzi} - (można było odczytać po literach. Było napisane na jakiejś kartce całe abecadko, słowa "tak" i "nie", i kładło się palce na linijkę, która posuwała się po literach układając odpowiedź. A że ja odnosiłam się do tych praktyk z rezerwą, za którymś razem duch "powiada", że nie będzie nic mówić, bą jedna z nas śmieje się z tego. Na pytanie: „kto?“, odpowiedział: „Zośka”. Ja potem nie mogłam w nocy spać! Nie wiem czy była to prawda, ale więcej w tych seansach nie brałam udziału. Ciągłe pragnienie powrotu do kraju, szukanie odpo-

wiedzi na dręczące nas pytanie: „czy wrócimy czy nie”, było główną przyczyną tego typu zabaw. Odpowiedzi duchów były zwykle pozytywne...

Trwałyśmy tam z myślą i nadzieją powrotu, trzymałyśmy się bardzo mocno polskości, a kiedy wróciłyśmy, to się bardzo rozczarowałyśmy - nie tego się spodziewałyśmy. Tam zdawało się nam, że jesteśmy tutaj bardzo potrzebne, a jak przyjechałyśmy, nikt nie wiedział, co z nami zrobić, gdzie nas dać...

Pamiętam jedną Wigilię na Syberii. Było to już po tym, jak tato zrobił żarna, więc Rosjanie przychodząc mleć zboże - oczywiście kradzione - zostawiali nam jego część. Czasem przynosili coś innego/ raz tato dostał 0,5 l wódki/. Z mąki robiliśmy chleb i zamiast opłatkami, nim właśnie dzieliliśmy się. Po Wigilii, w której uczestniczyły wszystkie polskie rodziny, śpiewaliśmy kolędy. Na ten wieczór tata zaprosił również parę rodzin rosyjskich, m.in. kowala z żoną i ci Rosjanie bardzo nas podziwiali za to, że mamy tak piękne tradycje. U nich, jak mówili, nic z tego nie ma.

Zasada życia w kołchozie, od jego powstania, były taka, że ludzie mieszkali tam od urodzenia aż do śmierci - nie wolno było nawet z jednego kołchozu do drugiego ^{się}przenieść. I ludzie tam mieszkający zaczynają w końcu wierzyć, że u nich jest najlepiej. Nic więcej nie widzą poza tym kołchozem i to im wystarcza. Powiadali nam: „gdzie może być lepiej jak tutaj, u nas?” Opowiadaliśmy, próbowaliśmy opowiedzieć im jak się żyje na ^eświęcie. Była z nami - w jednym wagonie razem wywieziona z Polski - rodzina leśniczego. Byli przed wojną bogaci, więc i na ^ySberii elegancko ubrani. Kiedy był tam czas głodu, żona leśniczego za chleb wymieniała swoją bieliznę, ubrania, kombinacje /halki itp/- miała bardzo piękne i sprzedawała je dziewczynom wiejskim, które w tym paradowały po wsi. Te parady były ich całą rozrywką, życiem towarzyskim. W niedzielę np. dziewczęta zbierały się, brały pod pachy i idąc drogą przez wieś śpiewały cz^axstuszki i najrozmaitsze przyśpiewki. Pewnego razu za-

częliśmy się ^{jednej} z nich śmiać i na jej zdziwienie tłumaczyliśmy, że halkę nosi się pod sukienką. "Ale jak jest to ładniejsze niż moja sukienka?"

Z amerykańskiej UNRY, o której mówiłam, dostawaliśmy również mieko w proszku, jaja w proszku, mąkę pytlowaną... Rosjanie takiej mąki wogóle nie znali... Zamknięci w kołchozie skazani byli na pracę, obowiązki, w kółko to samo. Ich stosunek do nas był bardzo pozytywny, cenili nas m.in. za to, że potrafimy dużo więcej jak oni. Dla przykładu; przez cztery lata pobytu naszego w tym kołchozie oni nie potrafili się nawet po polsku nauczyć, a myśmy po rusku mogli ich sprzedać! Tak mówiliśmy dobrze! ~~xxxxxxx~~ Z dobrym akcentem, że nie rozpoznawano nas, że jesteśmy Polakami. Kobiety rosyjskie ceniły nas również za to, że mogły się od nas wiele nauczyć. Często prosiły nas, byśmy o Polsce opowiadały, o tym jak u nas się żyje.

Obok Rosjan mieszkali na Syberii Żydzi i Ukraińcy. Nawet taki Ukrainiec z Futorów, który pierwszy na Polaków rękę podniósł, / żeby nas wywozić / - potem i jego wywieźli. Potem, tzn. po paru godzinach, bo jechaliśmy jednym pociągiem na wschód.

Jak wyglądał nasz powrót. Na początku ci z nas, którzy chcieli wracać do kraju musieli się zarejestrować w urzędzie w Czkałowie. To było w 1945 roku. Całą rodzinę mógł zgłaszać ojciec na podstawie dokumentów, które każdy z nas miał zamiar dowodów osobistych, bądź paszportów. To był dokument swobodnego przeżywania lub poruszania się w Rosji czy coś takiego. Nie wszyscy z Polaków chcieli wrócić. Pamiętam, była Polka młoda, która poznała jakiegoś Rosjanina i zdecydowała się zostać tam. Była z matką, matka strasznie rozpacziała. W zasadzie polskie rodziny wszystkie chciały wrócić.

Jechaliśmy w towarowych wagonach^h, ale już w innej sytuacji: mogliśmy wychodzić na zewnątrz podczas postojów i przystanków, kto miał pieniądze mógł robić zakupy. Po drodze cały czas opiekowali się nami ludzie ze Związku Polskich Patriotów, udzielali informacji. Wracaliś-

my przez Kijów do Medyki. Do kraju przyjechalismy gdzieś początkiem Wielkiego Tygodnia 1946 roku tak, że Święta Wielkanocne obchodziliśmy w Polsce. Na stacji w Brzemeslu skierowano nas do baraku PUR-u, którego główny urząd mieścił się w budynku obecnego Urzędu wojewódzkiego⁽⁻⁾ a dawniej, za Austrowęgier^(-W) jeszcze, był to klasztor oo. dominikanów - tylko po to, by skierować dalej na zachód, na tzw. ziemię odzyskane. O Futurach nawet nie myśleliśmy, zostaliśmy po tamtej stronie granicy. Jechaliśmy więc przez Rzeszów. A tam mój tato miał rodzinę - jego szwagier był kolejjarzem. Odnalazł go i umówili się, że w niedzielę przyjdziemy do niego na obiad. Ale kiedy my, tzn. córki dowiedziałyśmy się o tym, namówiłyśmy tata do dalszej jazdy na zachód. A u szwagra wówczas zebrała się cała rodzina, czekali z obiadem wstępnie już rozważając jak nas urządzą, aż w końcu szwagrowi nie uwierzyli, że spotkają nas podróżujących. Na dodatek mieli wiadomości o naszej śmierci na Syberii. Jechaliśmy dalej pociągiem gdzieś w poznańskie. Ojca przekonałyśmy tym, że tam, dalej, dadzą nam dom, jakieś gospodarstwo, a tutaj, w Rzeszowie będziemy obciążeniem dla rodziny. Okazało się jednak, że po drodze coraz więcej ludzi wysiadało z pociągu, że właściwie nic tam dla nas nie jest przygotowane, nie wiadomo gdzie jedziemy, żadnego skierowania, nawet nazwy miejscowości docelowej nie mieliśmy. Jechaliśmy w ciemno. Tato od początku nie miał zaufania do wyjazdu na zachód. Mówił, że Niemcy przyjdą i nas znów wygonią. Ze wschodu Moskale, z zachodu Niemcy... Wracamy do Rzeszowa! Zamieszkaliśmy u ciotki w Boguchwale pod Rzeszowem, odchorowaliśmy malarię przywiezioną z Czkałowa, siostry zaczęły pracować w boguchwalskiej fabryce porcelany, ale nasz tato nie mógł sobie wyobrazić życia bez gospodarstwa. Rolnik z krwi i kości. Więc jak w 1947 roku z tych terenów, pod Przemyślem, wysiedlali Ukraińców, w zamian za pozostawioną na wschodzie ziemię, państwo ojcu naszemu dało gospodarstwo w Grochowcach. W ten sposób znaleźliśmy się tutaj. Co uważam za niewłaściwe. Chociaż z przykrościami ze strony Ukraińców się nie spotkaliśmy: stary właściciel, wysiedlony gdzieś w ol-

szytyńskie, nawet przyjeżdżał do nas, nawet częstowaliśmy go jabłkami z jego sadu... Nie przejawiał jakiegś nienawiści...

Wspomnę jeszcze o Helenie Pasierb, jest na zdjęciu, w internacie była pomocnicą kucharki. Z całej rodziny wróciła tylko ona z siostrą Józefą. Wyszła za mąż, mieszka w Drawsku Pomorskim, ma dwoje dzieci: syna i córkę. Dziś to już dorośli ludzie, ale jak dorastali, opowiadała im tamte, syberyjskie historie: jak to się kradło, jaki był głód - na przykład zdechniętego i zakopanego już barana w nocy poszli, wygrzebali i bez żadnego badania lekarskiego zjedli... Nikomu się nic nie stało. Te wszystkie historie, zdarzenia dość trudne do przyjęcia kiedy się ludziom dobrze - w ~~niakę~~ ^{porównaniu} powodzi, opowiadała. Dzieci twierdziły, że mama ma fantazję, że jest to niemożliwe. Dopiero kiedy siostra moja do niej, do Drawska przyjechała - były ~~rodzicami~~ rówieśniczkami i na Futorach chodziły do jednej klasy -, zaczęły wspominać sobie syberyjskie przeżycia, jak tam żyły, a dzieci Heleny siedziały z boku i słuchały. A słuchając płakały... [Helena opowiadała m.in. o tym, jak od jednego Moskala kupowała kufajkę. Nie chciał dużo pieniędzy, a potrzebowała ją na zimę. Nie był zniszczona, więc kupiła. Moskal poszedł, a któraś ze starszych niewiast mówi: oglądnij kufajkę i zobacz, ile kupiłaś wszy. I faktycznie: jak zaczęli oglądać, to wszędzie, tam gdzie szwy, pod kołnierzem, siedziały jedna koło drugiej. Zanurzyły ją w wodzie i wystawiły na mróz. Zamarzła na kość i wisiała na zewnątrz cała satywma przez całą zimę. Na wiosnę, jak kufajka się rozmarzła to i to wojsko zaczęło chodzić... Inną historię, którą wspominały przy dzieciach to o tym, jak siostrę Heleny, Józefę wzięto do rosyjskiego domu dziecka, do Czkałowa ponieważ były sierotami, rodzice tam zmarli, a Józefa była za młoda jeszcze żeby pracować. Po dwóch miesiącach przyszła do nas w odwiedziny. Już nie umiała mówić po polsku, wszystko to, co pamiętaliśmy z przed wojny o Polsce to nieprawda... Już ustawiona jest w kierunku komunizmu, komsomołu, w kierunku biedy, że to jest dobre. Mój tato siedzi, słucha i mówi: słuchajcie, z tego domu dziecka trze-

ba ją zaraz zabrać! Mogła mieć wówczas 12 lat. I zabraliśmy ją. Po tych wspomnieniach dzieci pani Heleny raz płacząc, raz się śmiejąc z tamtejszych naszych humorów w końcu uwierzyły...

Nasze przeżycia były znośniejsze od tego, co ludzie przeżywali wywożeni dalej, na wschód i północ, w tajgi... Choć listy od innych Polaków dochodziły do nas z trudem, gdzieś czasem komuś się udało. Próbowali pisać na korze brzozonej mlekiem. Tam nie ma listów w kopertach jak u nas, papier składa się na róg, na "jaskółkę", w każdej chwili można go przeczytać, niczym się nie zakleja. Adresuje się na zewnątrz. I tą korę wkładano do środka, a odczytywać mogliśmy ją pod światło.

Gdzieś, w Rosji został mój brat cioteczny, syn siostry mojej mamy - dwie jej siostry wywieziono w tajgę do wyrębu drzewa -. Rodzice jego zginęli tam, a on wychowywany był w domu dziecka. Polacy wracający stamtąd chcieli zabrać go do kraju, ale się nie dał. Powiedział, że nie ma nic wspólnego z Polakami, że jest dzieckiem rosyjskim.

Wracającym Polakom w PUR-ach dawano m.in. po 1 litrze tranu, byliśmy zupełnie wycieńczeni.